

Kościół w PRL-u nie przyjął strategii heroizmu i męczeństwa. Dlatego szukanie heroicznego Kościoła prowadzi na manowce.

KOŚCIÓŁ POD OKIEM "ŚLEDCZYCH"

Nie jestem zbyt gorliwym katolikiem, ale uważam, że w sprawie arcybiskupa Wielgusa Rzym się wypowiedział i sprawa jest skończona. Pozostaje jednak problem, i nie jest to problem arcybiskupa, lecz lustratorów Kościoła, głównie świeckich. Nie jestem pewien, czy wiedzą, co czynią. Przez prawie cały okres Polski Ludowej pasowało do nas powiedzenie, chyba nawet nad Wisłą wymyślone, że jesteśmy "najweselszym barakiem w obozie". To, że mieliśmy szczęście być takim barakiem, zawdzięczamy w dużym stopniu polskiemu Kościołowi, jego sile i mądrości. Siłą Kościoła są wierni. Ale to, że Kościół tę siłę utrzymał i spotęgował, że potrafił ograniczyć zniewolenie społeczeństwa przez narzucony nam system, że był sanktuarium zakazanych pamiątek i pamięci, czasem schronieniem dla Polski zakazanej przez komunizm, że strzegł narodowej tkanki przez 45 lat PRL-u, także przed desperacją szarpiącego się społeczeństwa - to i wiele innego dobra zawdzięczamy mądrości Kościoła.

Kościół współzjący z władzą

Na czym ona polegała i co w tych czasach by jej zaprzeczało? Odpowiadam za siebie, tak jak widziałem postępowanie Kościoła, żyjąc w PRL-u. Kościół jako instytucja nie przyjął postawy walki, nastawienia ofensywnego, agresywnego. Potraktował rzeczywistość rodzącą się po 1945 roku jako zło, którego wszakże wypchnąć z kraju się nie da. Jako zło, z którym będzie się współzyc, broniąc się przed nim, ograniczając je i oswajając, a przez to czyniąc mniej niebezpiecznym dla wartości najważniejszych - religijnych i narodowych. Ta strategia współzycia ze złem jednocześnie miała je zmniejszać.

W najczarniejszym okresie stalinizmu takie podejście pozwoliło uniknąć niszczycielskiego uderzenia w Kościół. A to by nastąpiło, gdyby Kościół otwarcie walczył z komunizmem. Gdyby przyjął strategię Kościoła heroicznego i męczeńskiego, zniszczono by jego struktury, kadre i legalną - a więc powszechną - obecność wśród ludzi. Ta obecność była szczególnie ważna na wsi poddawanej brutalnej presji, by wydusić żywność konieczną do budowy gospodarki wojennej i pchać chłopów do spółdzielni produkcyjnych, polskiej wersji kółchozów.

Przejawem nieheroicznej strategii Kościoła była pomoc Władysławowi Gomułce w opanowaniu sytuacji w kraju, była to w istocie pomoc w

opanowaniu wolnościowej fali Października, której przelanie poza ramy dopuszczalne tolerancją Związku Radzieckiego groziło interwencją zbrojną. Dzięki współpracy z gomułkowską władzą Kościół odbudował nadwerżoną przez okres stalinowski pozycję, a nawet ją wzmocnił. Pokazał, że w chwili dramatycznej dla kraju nie ulega emocjom, że widzi właściwą proporcję spraw i zagrożeń, że jest przeciwnikiem obliczalnym, mającym wyczucie racji stanu.

W identyczny sposób, choć nie tak widowiskowo, objawiła się stabilizująca rola Kościoła podczas wydarzeń grudniowych roku 1970, a widzielibyśmy ją o wiele bardziej, gdyby komunistom nie udało się szybko spacyfikować robotników przez zmianę ekipy i wycofanie podwyżek cen.

Ten sam sposób postępowania widzieliśmy w Sierpniu 1980 roku, od znanej homilii prymasa Wyszyńskiego na Jasnej Górze w szczycie strajków poczynając. Podobnie było po wprowadzeniu stanu wojennego i przez całe lata 80.

Kościół, przeciwstawiając się komunizmowi, oswajał go, czynił bardziej znośnym, mniej zębatym, łagodził ostrość konfrontacji między rządzącą a rządzoną częścią Polaków, ostrość konfrontacji wewnątrz narodu rozdartego, wbrew swej woli, przez narzuconą dyktaturę. Łagodził i pilnował, by fala nigdy nie przekroczyła poziomu, który mógłby sprowokować ówczesnego suwerena tej części Europy do siłowej reakcji. W pewnym więc sensie Kościół wstrzymywał wolnościowe, niepodległościowe aspiracje narodu przed erupcją wtedy, kiedy nie było szans na ich spełnienie. A kiedy nadszedł odpowiedni czas, pomógł w tak płynnym i dobroczynnym, jak tylko było to możliwe, wyjściu Polski z komunizmu do wolności i pełnej niepodległości.

Kościół mógł zrobić to wszystko, będąc z rządzonym narodem i zarazem nie tracąc kontaktu z jego częścią, która przystała do załogi PRL-u. Kościół instytucjonalny nie mógł się całkowicie odseparować od kontaktów z władzą. Dla swoich celów potrzebowały ich obie strony.

Można powiedzieć, że instytucje i ludzie władzy i Kościoła stykali się z sobą na co dzień. I nie były to wyłącznie spotkania przedstawicieli wojujących stron, zjeżonych i wzajemnie nieufnych, lecz także kontakty normalne, jak między administracją państwową, w tym MSW, a ważną instytucją publiczną. I w Warszawie, i w Polsce prowincjonalnej były to często kontakty osobiste, oparte na znajomościach, czasem bliskich. Dzięki tej niezmiernie różnorodnej tkance powiązań Kościół mógł pełnić funkcję mądrego, rozważnego i skutecznego pasterza Polaków, także tych u władzy, w trudnym dla kraju okresie bez wolności i bez suwerenności, ale jednak w Polsce, a nie w "Kraju Przywiślańskim".

Cena współzycia

Ten wybór, postawienie na współzycie z komunizmem, ograniczanie go, ale i współdziałanie z nim, gotowość na heroizm, lecz jako ostatnią, a nie pierwszą linię obrony, to miało cenę.

PRL był dyktaturą, której stabilność gwarantował strach przed władzą. Rolę kontrolerów sprawdzających, czy gdzieś ludzie nie zaczynają sobie poczynać odważniej, odgrywała Służba Bezpieczeństwa i jej rozbudowana agentura przenikająca do wszystkich środowisk i instytucji. Penetracja Kościoła, jedynej w istocie niezależnej instytucji, niezmiernie wpływowej w społeczeństwie i z istoty przeciwnej ideologii i systemowi komunistycznemu, miała dla władzy szczególne znaczenie. Jest oczywiste, że ta dobroczynna dla narodu, bogata tkanka związków Kościoła współzyciącego z władzą była zarazem dla niej, dla jej "bezpieki" wygodnym i naturalnym kanałem przenikania do jego wnętrza przez zdobywanie źródeł informacji i agentów wśród samych księży.

Działo się to podczas spotkań, których w większości nie można było i nie należało unikać właśnie w imię mądrości, w których wywiadowcza czy werbunkowa strona nie występowała albo występowała ukryta, takich, które przez to były niejednoznaczne. Zostawały po nich raporty sporządzane przez funkcjonariuszy SB we właściwym dla tej służby języku, często pisane pod zwierzchników, co występuje w każdej biurokracji, tyle że papiery akurat tej instytucji mogą niszczyć i służyć do niszczenia ludzi. Powstało bardzo wiele tych raportów, ale też na kościelnym polu bezpieczniejszej twórczości, gdzie dominowały właśnie niejednoznaczne kontakty, zostało wiele śladów. Do właściwego ich odczytania i oceny potrzeba czegoś więcej niż prostego zapoznania się z dokumentami w IPN. Trzeba zrozumieć czasy PRL.

Tropiciele mądrości

To były czasy dramatyczne, skomplikowane. Na 45 lat wepchnięto nas wbrew woli w system pozwalający żyć w państwie polskim, ale zarazem w dyktaturze, której kamieniem węgielnym jest policja polityczna i agentura. Współzyciąjąc z nią, trzeba było się o ten kamień ocierać, ale to nie znaczy, że każde otarcie było ubrudzeniem, a były takie, które służyły dobru publicznemu, bo pozwalały ulżyć narodowi i go chronić.

Aby odróżnić jedno od drugiego, trzeba PRL najpierw rozumieć, a potem ewentualnie potępiać ludzi.

Gorzej, jeżeli potępienie idzie przed rozumieniem, a wydaje mi się, że tak jest w patrzeniu na lustrację Kościoła, które dominuje w dużej części prawniczej publicystyki. Jej punktem wyjścia jest fałszywy obraz PRL-u jako kraju okupowanego, rządzonego przez zdrajców i terroryzowanego.

Jako kraju, w którym społeczeństwo dzieliło się na oprawców i ofiary i w którym jedyną postawą godną Polaka powinna być wewnętrzna emigracja bądź opór i męczeństwo.

W tej perspektywie, którą przerysowuję, ale nieznacznie, każde zetknięcie z władzą, a szczególnie z jej policją polityczną, które nie byłoby jakąś manifestacją oporu, rysuje się jako pogranicze zdrady lub zdrada. Kościół zaczyna się jawić jako miejsce szczególnie spenetrowane przez bezpiekę, jako instytucja raczej kolaborująca z reżimem, i to w najgorszym tego słowa znaczeniu, niż z nim dialogująca, a kiedy trzeba - opierająca się mu. Takie wnioski niekoniecznie trzeba formułować wprost, ale narzucają się jako konsekwencja całej melodii, która jest logicznym, nieuchronnym skutkiem tego podejścia.

Lustracyjni manichejczycy całą złożoność i dramatyzm sytuacji redukują do dwu kolorów i wszystko, co nie jest heroizmem lub prawie heroizmem, kwalifikują jako zaprzaństwo. I oczywiście takiego "zaprzaństwa" znajdą w stosunkach Kościoła z państwem w tamtych czasach bardzo dużo, ono będzie przeważało. Tylko że dzięki niemu jako naród żyliśmy w najweselszym baraku obozu.

Lustratorzy Kościoła, także duchowni, tacy jak ksiądz Isakowicz-Zalewski, tłumacząc lustracyjny zelotyzm, powiadają, że chcą odcedzić brudną pianę, by pokazać piękno heroizmu Kościoła w czasach PRL. Otóż to zamiar skazany na niepowodzenie. Szukanie heroicznego Kościoła prowadzi na manowce, bo Kościół w PRL-u bywał heroiczny, ale przede wszystkim był mądry. To, co dobre, zawdzięczamy mądrości, która dla "zelotów" jest podejrzana. Jeżeli prawicowa publicystyka lustracyjna narzuci swoje widzenie PRL-u, Kościół zapłaci w oczach młodego pokolenia niemogącego czuć tamtych czasów cenę potępień za to, co było w jego pracy narodowej w 45-leciu najważniejsze. Mądrość znalazła swoich tropicieli i śledczych.

(Gazeta Wyborcza nr 2 z dnia 03/01/2007)